

FERENC MOLNÁR
CHŁOPCY
Z ULICY PAWŁA

PRZEŁOŻYŁ MIŁOSZ WALIGÓRSKI
ZĘ WSTĘPEM KRZYSZTOFA VARGI

MARGINESY

This translation received financial support
from Translation House Looren

[lo:rən] Übersetzerhaus Looren
Collège de traducteurs Looren
Translation House Looren

A Pál utcai fiúk

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Miłosz Waligórski

COPYRIGHT © FOR THE PREFACE BY Krzysztof Varga

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

34 | PLAC... O, PIĘKNE, zdrowe dzieci Wielkiej Niziny Węgierskiej, ze swoich domów wychodzicie prosto na rozległą równinę pod cudowny dzwon błękitu zwany niebem, wasze oczy przywykły do przestrzeni, do spojrzeń w nieskończoną dal, nie musicie gnieździć się w wielkomiejskich klitkach, kluczyć wąskimi uliczkami wśród wysokich domów – nawet się nie domyślacie, co dla dzieci z Pesztu znaczy jeden pusty Plac! Dla nich to preria, step i cała puszcza w jednym. Nieskończoność i wolność. A przecież na oko to miejsce nie wyróżnia się niczym szczególnym. Z jednej strony ogrodzone jest rozpadającym się płotem, a z trzech pozostałych niebosiężnymi murami kamienic. Dziś w miejscu Placu stoi szara czteropiętrowa czynszówka, której lokatorzy nawet się nie domyślają, że kiedyś na tym spłachetku ziemi garstka chłopców spędziła najwspanialsze momenty swojej młodości.

Sam Plac, jak na działkę budowlaną przystało, świecił pustką. Od ulicy Pawła oddzielał go płot. Z lewej i prawej

strony górowały dwie kamienice, z tyłu zaś... tak, z tyłu było coś, co stanowiło o jego wyjątkowości. Tam leżały równo ułożone sęki drzewa. Między polanami powstały alejki, istny labirynt. Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt wąskich uliczek przecinało się wśród ciemnych pni, tworząc płataninę, w której niełatwo było się odnaleźć. Komu jednak się udało, ten wychodził na uklepaną ziemię, pośrodku której stał niepozorny budynek. Był to tartak. Dziwny, tajemniczy i trochę straszny. Latem obrastał dzikim winem i niknął w liściach. Ponad nimi komin w regularnych odstępach czasu buchał kłębami czystej pary. Zza sągów brzmiało to tak, jakby stara lokomotywa, jęcząc i sapiąc, próbowała ruszyć z miejsca.

| 35

Pod tartakiem parkowały zwałiste wozy. Od czasu do czasu podjeżdżały pod okap, gdzie z małego okienka wystawało koryto z desek. Po nim z hukiem staczały się szczapy i błyskawicznie wypełniały pakę. Woźnica okrzykiem ogłaszał koniec załadunku, z komina przestawało się kurzyć, robiło się cicho, klaskały lejce i wóz odjeżdżał, żeby chwilę później pod okapem stanął kolejny. Powtarzała się cała procedura, korytem znów toczyły się drwa. I tak to przebiegało latami, bez zmian. Maszyna cięła, ale materiału nie ubywało, bo furmanki dowoziły nowe pnie. Piła parowa pracowała bez wytchnienia. Przed tartakiem rośło kilka karłowatych morw, pod jedną z nich przycupnęła budka – mieszkał w niej stróż, Słowak, który w nocy pilnował drewna przed złodziejami i podpalaczami.

Czy można sobie wyobrazić lepsze miejsce do zabawy? My, chłopcy z Pesztu, nie potrzebowaliśmy więcej. Nasz Plac, najpiękniejszy i najbardziej indiański plac na świecie,

zastępował nam amerykańską prerię, a znajdujący się na jego tyłach skład drzewa mógł być i miasteczkiem, i lasem, i skalistymi górami – jednym słowem wszystkim, co zechcieliśmy. Tylko nie myślcie sobie, że tartak był niezabezpieczony! Przeciwnie, zmieniliśmy go w twierdzę nie do zdobycia. O tym, który sąg trzeba umocnić, decydował Boka. Fortyfikacje wznosili Czonakosz i Nemeczek. Stały one w kilku punktach, każda miała swojego dowódcę. Kapitan, porucznik, podporucznik. Jak w wojsku. Tylko szeregowców brakowało, to znaczy był jeden. Przełożeni rozkazywali mu, musztrowali go na potęgę i często posyłali do kozy za niesubordynację.

Nie trzeba chyba dodawać, że tę rolę grał mały blondynek. Porucznicy i podporucznicy salutowali do siebie z upodobaniem nawet po sto razy dziennie. Pospiesznie podnosili palce do czapek i mówili donośnie: „Serwus!”. Tylko biedny Nemeczek musiał co rusz stawać na baczność, sztywno salutować i do tego wysłuchiwać besztań: „Jak ty stoisz?!", „Pięty razem!", „Wypnij pierś, wciągnij brzuch!", „Baczność!”. A on podporządkowywał się bez słowa sprzeciwu. Istnieją bowiem chłopcy, którym okazywanie posłuszeństwa sprawia przyjemność. Większość jednak sama lubi rozkazywać. Tacy już jesteśmy. Dlatego nie ma się co dziwić, że na Placu każdy był oficerem, a jedynie Nemeczek godził się na los szeregowca.

O wpół do trzeciej po południu nikogo tam nie było. Przed budką na derce smacznie spał sobie Słowak, który zresztą zawsze odpoczywał za dnia, bo nocą wałęsał się po tartaku albo przesiadywał na ufortyfikowanym sągu

i gapił się w księżyc. Piła parowa huczała, czarny komin wypuszczał śnieżnobiałe obłoczki, a szczapki miarowo zsuwały się do wozów.

Kilka minut później skrzyknęła furtka od ulicy Pawła i na Plac wszedł Nemeczek. Z kieszeni wyjął dużą kromkę chleba, rozejrzał się dookoła, a kiedy stwierdził, że nikt go nie ma, zaczął spokojnie żuć skórkę. Wcześniej jednak dobrze zamknął za sobą drzwi zgodnie z umową, że każdy, kto przychodzi, musi je porządnie zaryglować. Uchylenie się od tego obowiązku groziło aresztem. A dyscyplina wśród chłopców panowała żelazna, iście wojskowa.

Nemeczek przysiadł na kamieniu, jadł chleb i czekał na kolegów. Popołudnie zapowiadało się bardzo interesująco. W powietrzu wyczuwało się podniosłą atmosferę, jakby miało zdarzyć się coś ważnego. Blondynek był w tej chwili wyjątkowo dumny, że należy do słynnej paczki chłopców z ulicy Pawła. Pożuł jeszcze skórkę i zaraz ruszył z nudów między sągi. Snuł się alejkami, aż natknął się na dużego czarnego psa należącego do Słowaka.

– Hektor! – zawołał przyjaźnie, ale Hektor nie miał najmniejszej ochoty odpowiadać na powitanie. Zamerdął ogonem, co w psim języku oznacza mniej więcej tyle, ile u ludzi pospieszne uchylenie kapelusza. I popędził dalej, szczekając przy tym zaciekle.

Nemeczek poszedł za nim. Hektor zatrzymał się przy stosie drewna i zaczął je obszczekiwać z całej siły. U góry ułożono z polan murek obronny, a na cienkim patyku powiewał czerwono-zielony sztandar. Pies obskakiwał fortyfikację i nie przestawał ujadać.

– O co chodzi? – zapytał blondynek, który nawiasem mówiąc, z Hektorem żył w wielkiej komitywie. Może dlatego, że obaj byli jedynymi szeregowcami na Placu.

Zadarł głowę. Na szczycie nie dostrzegł nikogo, ale przeczuwał, że ktoś się tam kręci. Zaczął więc wspinać się po wystających kłodach. W połowie drogi usłyszał jakiś ruch, jakby ktoś przekładał kawałki drewna. Serce załomotało mu ze strachu. Już chciał zawrócić, ale kiedy spojrzał w dół i zobaczył Hektora, znów nabrał odwagi.

38 | – Nie bój się, Nemeczek – szeptał do siebie, pnąc się ostrożnie. Za każdym krokiem dodawał sobie otuchy: – Nie bój się, Nemeczek, nie bój się – powtarzał.

Ostatni raz powiedział to na szczycie. Chciał akurat pokonać niską zaporę, kiedy jego stopa, szukając oparcia, trafiła w próżnię.

– Jezu! – krzyknął i runął na ziemię. Z przerażenia nie mógł złapać tchu.

W górze z prawą nogą na palu stał pod sztandarem Feri Acz, straszny Feri Acz, ich wróg i przywódca bandy z Botanika. Jego luźna czerwona koszula łopotała na wietrze.

– Nie bój się, Nemeczek – powiedział cicho z kpiącym uśmiechem.

Ale Nemeczek już się bał. Uciekał, a za nim gnał czarny pies. Kluczyli między sągami, na skrzydłach wiatru goniła ich drwina:

– Nie bój się...

Kiedy Nemeczek znalazł się na Placu i obejrzał się za siebie, na forcie nie było już ani koszuli Feriego Acza, ani czerwono-zielonej chorągwi, którą uszyła siostra Czelego.

Acz zniknął. Może przez tartak wydostał się na ulicę Marii, a może schował się gdzieś ze swoimi kompanami, braćmi Pastorami.

Na myśl, że oni też tu są, Nemeczkowi przebiegły ciarki po plecach. Wiedział już, co to znaczy spotkać się z Pastorami. Ale z bliska Feriego Acza widział teraz pierwszy raz. Bardzo się go wystraszył, z drugiej strony jednak spodobał mu się ten chłopak, rosły i dobrze zbudowany. Do jego ciemnej cery świetnie pasowała czerwona koszula, która przydawała mu wojowniczości. Wyglądał w niej niczym Garibaldi. W ogóle takie koszule nosili wszyscy z Botanika, każdy tam chciał naśladować Acza.

| 39

Nagle rozległo się pukanie. Ktoś zastukał do furtki cztery razy w równych odstępach. To był umówiony znak, więc Nemeczek odetchnął z ulgą. Zaraz wpuścił na Plac Bokę, Czelego i Gereba. Natychmiast chciał im opowiedzieć o tym, co się stało, ale nie zapominał też, że jest szeregowcem i najpierw powinien przełożonym oddać honory. Staął zatem na baczność i sztywno zasalutował.

– Serwus! – powiedzieli. – Co nowego?

Nemeczek z trudem chwycił powietrze. Nie wiedział, od czego zacząć, plątały mu się myśli.

– Coś strasznego! – krzyknął.

– Co?

– Straszne!

– Ale co?

– Był tu Feri Acz!

Chłopcy spowaźnieli.

– Jak to? – zdziwił się Gereb.

– Jak Boga kocham – odparł Nemeczek z ręką na sercu.
– Nie przysięgaj – przerwał mu Boka i dla wzmocnienia efektu dodał głośno: – Baczność!

Nemeczek trzasnął obcasami. Boka zrobił krok w jego stronę.

– Powiedz dokładnie, co widziałeś.

– Kiedy wszedłem między sągi, usłyszałem szczekanie psa, które zaprowadziło mnie do środkowej cytadeli. Tam coś skrzypiało. Wspiąłem się po kłodach i na górze zobaczyłem Feriego Acza w czerwonej koszuli.

– Na szczycie?

40 | – Tak jest – potwierdził blondynek i znów chciał przysięgać, już kładł rękę na serce, ale Boka skarcił go surowym spojrzeniem. – Wziął chorągiew.

Czele aż syknął.

– Sztandar?

– Tak.

Wszyscy czterej puścili się w tamtą stronę. Nemeczek biegł ostatni, był przecież szeregowcem, a poza tym gdzieś tam mógł kryć się jeszcze Feri Acz. Stanęli przed fortem. Rzeczywiście, chorągiew zniknęła bez śladu. Brakowało też drzewca. Chłopcy kipieli oburzeniem, tylko Boka zachował zimną krew.

– Powiedz swojej siostrze – zwrócił się do Czelego – żeby jutro uszyła nową.

– W porządku, ale nie ma już zielonego materiału. Czerwony jeszcze jest, ale zielony się skończył.

– A biały? – dopytywał ze spokojem Boka, jakby coś już postanowił.

– Biały ma.

– No to niech zrobi czerwono-białą. Od dzisiaj naszymi barwami będą czerwony i biały.

Nikt się nie sprzeciwił. Gereb krzyknął do Nemeczka:

– Szeregowy!

– Na rozkaz!

– Do jutra nowe barwy wprowadzić do regulaminu!

– Tak jest, panie poruczniku!

W końcu Gereb zlitował się nad wyprężonym jak struna blondynkiem.

– Spocznij!

I Nemeczek przyjął pozycję „spocznij”. Chłopcy wgramolili się na górę i zobaczyli, że Feri Acz złamał drzewce chorągwi, którego przybity gwoździami kikut sterczał jeszcze na swoim miejscu.

Z Placu dobiegły okrzyki:

– Hej ho! Hej ho!

To było hasło. Najwidoczniej przybyli pozostali i rozglądali się po Placu. Z kilku gardeł niosło się donośne: „Hej ho! Hej ho!”.

Czele kiwnął na Nemeczka.

– Szeregowy!

– Na rozkaz!

– Odpowiedzieć kolegom!

– Robi się, panie poruczniku!

Nemeczek zwinął dłoń w trąbkę, przyłożył ją do ust i cienkim, dziecięcym głosem zawołał:

– Hej ho!

Potem zeszli z cytadeli i przenieśli się na Plac. Tam na środku czekali już zbici w grupkę Czonakosz, Weiss, Kende, Kolnai i jeszcze paru innych. Widząc Bokę, stanęli na baczność. W końcu był kapitanem.

– Serwus! – rzucił Boka.

Kolnai wystąpił naprzód.

– Melduję posłusznie, że kiedy wchodziliśmy, furtka nie była zamknięta. Zgodnie z regulaminem powinna być zaryglowana.

Boka zmierzył swoich towarzyszy surowym spojrzeniem. Każdy patrzył na Nemeczka, który już kładł rękę na serce, aby przysięgać, że to nie jego sprawka.

– Kto wchodził ostatni? – zapytał kapitan.

Nastała cisza. Czyżby nikt nie wchodził ostatni? Zaraz jednak odezwał się Nemeczek, jego twarz promieniała.

– Pan kapitan wszedł ostatni.

– Ja? – zdziwił się Boka.

– Tak.

Boka zastanawiał się przez chwilę.

– Masz rację – stwierdził z powagą. – Zapomniałem. Dlatego, poruczniku – zwrócił się do Gereba – proszę mnie wpisać do Wielkiej Księgi.

Gereb wyjął z kieszeni notesik i wielkimi literami zapisał w nim „Janosz Boka”, dla jasności dodając jeszcze: „furtka”.

Spodobała się chłopcom ta szlachetność Boki. Sam wymierzył sobie karę, co było dowodem męstwa, o jakim nie słyszeli nawet na lekcjach łaciny, chociaż na łacinie dużo mówiono o rzymskich cnotach. Ale również Boka,

jak każdy człowiek, miał swoje słabostki. Owszem, poprosił, żeby umieścić jego imię w Wielkiej Księdze, ale nie oszczędził też Kolnaiemu paru gorzkich słów:

– A ty na przyszłość tyle nie paplaj. Poruczniku, proszę zapisać też Kolnaiego, za donosicielstwo.

Porucznik wykonał polecenie bez szemrania. Tymczasem stojący za nimi blondynek odtąńczył z radości cichego czardasza. Oto pierwszy raz do Księgi trafił ktoś inny, nie on. Dotąd figurowało tam tylko „Nemeczek”. Koledzy skarżyli na niego z byle powodu i trybunał, który zbierał się co sobotę, skazywał tylko jego. Cóż, taki los szeregowca.

Wkrótce odbyła się wielka narada. Po kilku minutach każdy już znał wstrząsającą wieść, że Feri Acz, wódz Czerwonych Koszul, dostał się do samego serca Placu, wszedł na środkowy fort i podprowadził sztandar. Oburzenie chłopców sięgało zenitu. Otoczyli Nemeczka, który swoją opowieść uzupełniał o nowe szczegóły.

– I co? Odezwał się do ciebie?

– Pewnie. – Blondynek nie krył dumy.

– Co powiedział?

– Krzyknął.

– Ale co?

– Zawołał: „Nie boisz się, Nemeczek?”.

Nemeczek przełknął ślinę, bo wiedział, że to nieprawda. Przecież było inaczej, tymczasem on mówił tak, jakby jego odwaga zaskoczyła Feriego Acza.

– I się nie bałeś?

– Ja, nie. Stałem pod fortem, a wtedy on zsunął się z drugiej strony i znikł. Uciekł.

– Gadanie! – wszedł mu w słowo Gereb. – Feri Acz jeszcze nigdy przed nikim nie uciekał.

– Oho, a ty go bronisz! – powiedział karcąco Boka.

– Nie bronię, tylko... – Gereb ściszył trochę głos – tylko mówię, że to mało prawdopodobne, żeby Feri Acz przestraszył się Nemeczka.

Na to wszyscy się zaśmiali. Rzeczywiście, Gereb miał rację. Zakłopotany blondynek wzruszał tylko ramionami.

Po chwili przed chłopców wyszedł Boka.

44 | – Musimy coś z tym zrobić, panowie. Na dzisiaj, jak wiecie, zaplanowaliśmy głosowanie. Wybierzemy przewodniczącego, ale takiego, który będzie miał pełnię władzy, którego rozkazy będą wykonywane bez zastrzeżeń. Niewykluczone, że z tego incydentu wywiąże się wojna, dlatego potrzebny jest ktoś, kto ma zmysł stratega. No, szeregowy, wystąp! Bacność! Potrzebne są karteczki, tyle karteczek, ilu nas tu jest. Każdy zapisze imię swojego kandydata, a potem papierki wrzucimy do czapki. Szefem zostanie ten, kto dostanie najwięcej głosów.

– Wiwat! – krzyknęli wszyscy naraz.

Czonakosz wsunął w usta dwa palce i gwizdnął ostro jak lokomotywa. Chłopcy wyrywali kartki z zeszytów, a Weiss przygotował ołówek. Kolnai i Barabasz, między którymi często wynikały spory, posprzeczali się, czyja czapka będzie urną. Niewiele brakowało, a doszłoby do rękoczynów. Kolnai powiedział, że czapka Barabasza się nie nadaje, bo jest tłusta.

– Twoja jest jeszcze tłusciejsza – rzucił Kende.

Postanowili to sprawdzić. Scyzorykiem chcieli zdrapywać brud i porównywać, gdzie go więcej, ale nie zdążyli.

Czele zaproponował swój zgrabny czarny kapelusik, a trzeba wiedzieć, że jeśli chodzi o nakrycia głowy, Czele nie miał sobie równych.

Nemeczek wykorzystał okazję, że jest przez chwilę w centrum uwagi, i zamiast rozdawać kartki, wystąpił naprzód, stanął na baczność i gniotąc w dłoniach zeszyt, odezwał się drżącym głosem:

– Panie kapitanie, to nie w porządku, że tylko ja jestem szeregowcem... Od kiedy założyliśmy nasz związek, każdy zdążył awansować na oficera, a ja, najniższy rangą, ciągle muszę słuchać rozkazów i... wszystko robić i... i...

I blondynek rozcupił się nad sobą, po jego łagodnej buzi popłynęły łzy.

– Trzeba go wykluczyć – zaproponował niewzruszony Czele.

– Ryczy! – dodał ktoś.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. To przepełniło czarę gorczy, Nemeczek rozkleił się na dobre. Płakał i histerycznie łapiąc powietrze, próbował coś powiedzieć.

– Zobaczcie, w... w... w Wielkiej... Wielkiej Księżce... ja... tylko ja... zapisany... jak... pies...

– Jeśli natychmiast nie przestaniesz buczeć, będziesz musiał nas opuścić. Nie zadajemy się z mięczakami – ustalił Boka.

Słowo „mięczak” zrobiło swoje. Nemeczek, biedny mały Nemeczek, bardzo się wystraszył i zduśił w sobie szloch. Kapitan położył mu rękę na ramieniu.

– Jeśli się wykazesz, w maju będziesz oficerem, na razie jednak musisz jeszcze trochę побыć szeregowcem.

Wszyscy temu przytaknęli, bo przecież gdyby Nemeczek nagle dostał awans, cała zabawa straciłaby sens. Nie mieliby komu rozkazywać.

– Żołnierzu, zatemperujcie! – zdecydowanym tonem wydał komendę Gereb, wtykając podwładnemu w rękę ołówek, który ułamał się pośród kulek w kieszeni Weissa.

Nemeczek ze schnącymi łzami na policzkach znów stanął na baczność i przystąpił do wykonywania polecenia. Pociągając nosem, cały swój żal i całe swoje rozgoryczenie wkładał w gorliwe ostrzenie ołówka Hardtmuth 2.

– Go... go... gotowe, panie poruczniku.

46 | Głęboko westchnął i tym westchnieniem wyraził zgodę na swój los.

Rozdzielono karteczki. Każdy odszedł na bok, wybory to poważna sprawa. Po chwili szeregowiec zaczął zbierać głosy. Wrzucał je do kapelusza Czelego, a kiedy tak z nim chodził między chłopcami, Barabasz dał kuksańca Kolnaiemu.

– Ty, ten też tłusty.

Kolnai zajrzał do środka i poczuł, że skoro nawet tu widać ciemny nalot, to nie ma się czego wstydzić. Z drugiej strony brud w kapeluszu Czelego nie zwiastował niczego dobrego.

Boka czytał na głos imiona i nazwiska, a karteczki przekazywał stojącemu obok Gerebowi. Było ich czternaście.

– Janosz Boka, Janosz Boka, Janosz Boka... – i nagle: – Dežo Gereb.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Wiedzieli, że to Boka oddał głos na Gereba, z grzeczności. Później znów słyszeli tylko „Janosz Boka, Janosz Boka”, ale pod koniec Gereb pojawił się jeszcze raz. I drugi. W sumie jedenaście punktów dostał

Boka, a trzy Gereb, który uśmiechał się teraz z zakłopotaniem, bo wyszło na jaw, że rywalizuje z Boką. Te trzy głosy sprawiły mu przyjemność. Bokę zaś zabolaly dwa z nich. Przez chwilę zastanawiał się, kto mógł je oddać, zaraz jednak się uspokoił.

– A więc padło na mnie.

Znów rozległy się wiwaty, znów zagwizdał Czonakosz. Nemeczek, mimo że miał jeszcze smutek w oczach, też z zapalem wznosił okrzyki. Bardzo lubił Bokę.

Przewodniczący gestem poprosił o ciszę, chciał zabrać głos.

– Dziękuję, dziękuję! Panowie, nie mamy chwili do stracenia. Chyba każdy zdaje sobie sprawę, że Czerwone Koszule planują przejąć nasz Plac. Wczoraj Pastorowie zabrali chłopcom kulki, a dziś przyszedł tu Feri Acz, żeby ukraść nasz sztandar. Prędzej czy później spróbują nas stąd wypędzić. Ale my będziemy się bronić!

– Niech żyje Plac!!! – przerwał mu Czonakosz.

Czapki poleciały w górę. Wszyscy powtórzyli na całe gardło:

– Niech żyje!!!

Rozejrzeli się po Placu oświetlonym wiosennym słońcem. Było widać, że bardzo kochają ten skrawek ziemi i będą o niego walczyć, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wołali: „Niech żyje Plac!”, jakby wołali: „Niech żyje ojczyzna!”. Taką darzyli go miłością. Ich oczy lśniły, a piersi rozpięła wzruszenie.

Boka mówił dalej:

– Ale my ich uprzedzimy! Zanim oni przyjdą do nas, my pójdziemy do nich, do Botanika!

W innych okolicznościach chłopców być może przestraszyłby tak śmiały plan. W tej sytuacji jednak górę wziął entuzjazm.

– Na nich! – krzyczeli wszyscy, a skoro wszyscy, to i Nemeczek, chociaż wiedział, że jego rola będzie polegać na noszeniu kurtek panom oficerom.

Zza sągów drewna dobiegł podпиты głos:

– Na nich, na nich!

Spojrzeni w tamtą stronę. To był Słowak. Szeroko się uśmiechając, stał z fajką w zębach, obok warował Hektor. Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Słowak, tak jak oni, cisnął
48 | czapką w górę, po czym znów wydarł się ile sił w płucach:

– Na nich!

Tym samym część oficjalna dobiegła końca. Nadszedł czas na grę w palanta.

– Szeregowy, przynieść z magazynu piłkę i podbijak – zakomenderował ktoś ostro.

Nemeczek pobiegł na teren tartaku, wśliznął się pod sąg i wyjął, co trzeba. Kiedy się wygramolił, zobaczył nad sobą Słowaka, Kendego i Kolnaiego. Kende trzymał w ręce czapkę stróża, właśnie przeprowadzał na niej próbę brudu. Przejechał palcem wzdłuż obszywki i nie kryjąc zdziwienia, stwierdził, że czegoś takiego jeszcze nie widział.

Boka podszedł do Gereba.

– Dostałeś trzy głosy.

– Tak – potwierdził z dumą Gereb i twardo spojrzał przewodniczącemu w oczy.